

**Gill Paul**

**Ulotne nadzieje**

Przełożyła Anna Gralak

Powieść *Ulotne nadzieje* jest fikcją literacką. Odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, miejsc, organizacji mają na celu jedynie stworzenie pozorów autentyczności. Pozostałe postacie, wydarzenia, dialogi są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki.

Originally published in the English language by HarperCollins Publishers Ltd.  
under the title *No Place for a Lady*.

Gill Paul asserts the moral right to be acknowledged as the author of this work

© Gill Paul 2015

All rights reserved

© Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Zuzanna Weremiuk

Zdjęcie na okładce: Abigail Miles / Arcangel Images

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2587-5

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

Druk i oprawa: READ ME • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

*Dla mojego brata Graya i mojej siostry Fo,  
którzy bardzo dużo dla mnie znaczą.*



# Prolog

25 października 1854

Pani Lucy Harvington drży, stojąc na szczycie wzgórza niedaleko wybrzeża Krymu i patrząc na armie, które zebrały się na dole przed bitwą. Zastanawia się, czy jej mąż dzisiaj zginie. Charlie jest gdzieś na lewym krańcu: słyszała, jak lord Raglan wskazał lekką brygadę, wydając rozkaz. Gdy Lucy patrzy w tym kierunku, widzi niewyraźne postacie na koniach oraz zimne światło połyskujące na stalowych bagnetach. Wszędzie wokół ciągną się szeregi mężczyzn czekających na rozkaz, by ruszyć naprzód i zabijać – szeregi mężczyzn, którzy są synami, siostrzeńcami, mężami i ojcami, a nawet dziadkami. Lucy słyszy niecierpliwe parskanie koni i krzyki jakiegoś ptaka wysoko w górze. Brzmią jak ostrzeżenie.

Nagle wydaje jej się niepojęte, że znalazła się w takiej sytuacji. W niespełna rok jej świat stanął na głowie: przestała być młodą siedemnastoletnią damą, która mieszkała z ojcem oraz starszą siostrą, po czym, poślubiwszy kapitana, pojechała za mężem na wojnę w dalekim niegościnnym kraju. Wciąż nie może uwierzyć, że do tego doszło. W Londynie ma szerokie grono przyjaciół, przywykła do bywania na balach i przyjęciach, na których występowała w nowych szykownych sukniach i najmodniejszych fryzurach. Teraz jednak prawie od tygodnia chodzi w tej samej sukience, nie może się nawet umyć, jej peleryna jest ubłocona, a rozczochrane włosy oklapły. Większość czasu spędza samotnie, ponieważ Charlie jest gdzieś w terenie. Lucy marznie w przemoczonym ubraniu, które chyba nigdy nie ma szans porządnie wyschnąć, a do tego jest bardzo, bardzo wystraszona.

Jej los został jednak przypieczętowany już w chwili pamiętnego pierwszego spotkania z Charliem Harvingtonem, będącego

początkiem całego łańcucha zdarzeń prowadzących ją na to zapomniane przez Boga i ludzi wzgórze.



Był nudny listopadowy dzień 1853 roku, Londyn spowił się gęstą, utyłaną w sadzy mgłą i smrodem znad Tamizy. Lucy wpadła z wizytą do Pendleburych, starych przyjaciół jej rodziców, mając nadzieję, że przy okazji spotka się z ich synem Henrym, który, jak wiedziała, był akurat w domu na przepustce z wojska. W czasie jego poprzedniej bytności trochę ze sobą flirtowali i chciała się przekonać, co z tego wyniknie. Niestety, Henry'ego akurat nie było w domu, więc musiała rozmawiać z jego rodzicami, dość staromodną parą. Gdy wyczerpali standardowe tematy – pogodę, plany na okres świąteczny, stan zdrowia poszczególnych członków rodziny – zaproponowała, że zagra im coś na fortepianie i zaśpiewa. Liczyła na to, że dzięki temu szybciej zleci jej czas, nim będzie mogła kulturalnie się pożegnać i wyjść.

Wybrała pieśń Mozarta pasującą do jej sopranu. Nauczyciel śpiewu miał krytyczny stosunek do niemieckiej wymowy Lucy, lecz dziewczynie podobała się ładna melodia. Śpiewając, usłyszała, jak drzwi do salonu się otwierają, a gdy zerknęła w ich stronę, ujrzała Henry'ego Pendlebury'ego, który stał w progu z jakimś przyjacielem. Przyjaciel, ubrany w żołnierską granatową tunikę ze złotym galonem udrapowanym na piersi, był bardzo przystojny i patrzył prosto na nią. Jego zainteresowanie sprawiło, że zaczęła śpiewać trochę słodszy głosem i grać trochę staranniej, a przy tym zarumieniła się na widok tak niespodziewanej publiczności.

Kiedy skończyła, nagrodzono ją serdecznymi oklaskami, za które podziękowała ukłonem.

– Proszę nie przerywać. Mógłbym pani słuchać bez przerwy – odezwał się nieznajomy. Wyglądało na to, że nie potrafi oderwać od niej oczu.

Henry Pendlebury się roześmiał.

– Panno Gray, przedstawiam kapitana Charliego Harvingtona, mojego kolegę z wojska. Charlie, to panna Lucy Gray.

Charlie podszedł, by ująć jej dłoń. Uniósł ją do ust i pocałował, po czym teatralnie padł na kolana.

– Oświadczam w obecności wszystkich tu obecnych, że jestem gotów zostać niewolnikiem panny Gray i służyć jej tak długo, dopóki zechce mnie znosić. Proszę, panno Gray, niech mi pani powie, co mogę dla pani zrobić. Nie oczekuję niczego w zamian, proszę jedynie o zaszczyt dalszego przebywania w towarzystwie tak oszałamiającej piękności.

Lucy roześmiała się, zdumiona jego niekonwencjonalną otwartością.

– Doskonale. Z chęcią napiłabym się herbaty, by zwilżyła mi gardło po niedawnym wysiłku.

Na tacy obok kominka stał dzbanek z herbatą i Charlie pospieszył po filiżankę, pytając taktownie, czy Lucy życzy sobie śmietanki i cukru.

– Teraz chciałabym, by przyniósł mi pan mój szal – powiedziała rozweselona zabawą z energicznym nieznanym. Zauważyła pełne dezaprobaty spojrzenia, które wymienili państwo Pendlebury. Czuli, że narusza granice dobrego wychowania, lecz nie potrafiła się powstrzymać.

Charlie przyniósł szal i podając go, spojrzał Lucy w oczy. Jego tęczówki miały zdumiewająco błękitny kolor tworzący niezwykle połączenie z kasztanowymi włosami. Mężczyzna się uśmiechał, lecz pod tym uśmiechem dostrzegła jakiś smutek. Poczuli ukłucie w sercu i mimo wszystkich żartów od razu wiedziała, że zakocha się w tym mężczyźnie, a on zakocha się w niej. Tak po prostu.

Gdy wstała, żeby wyjść, ponieważ zbliżała się pora kolacji i Lucy musiała się przebrać, Charlie odprowadził ją do powozu i spytał, czy może ją odwiedzić nazajutrz rano.

– A ja? – zawołał Henry, stojąc w drzwiach. – Tak szybko pani o mnie zapomni, panno Gray?

– Pan też musi mnie odwiedzić – nalegała. – Jakżeby inaczej!

Patrzyła już jednak tylko na Charliego. Francuzi nazywali to *coup de foudre*, głębokim przekonaniem, że są dla siebie stworzeni.



Teraz, jedenaście miesięcy później, stojąc na szczycie wzgórza na Półwyspie Krymskim, Lucy uświadamia sobie, że może już nigdy nie zobaczyć Charliego. Że sama też może zginąć albo trafić do niewoli – a nie jest pewna, który los byłby gorszy.

Nagle w dole widać błysk, a potem ziemię wstrząsa ogłuszająca eksplozja i Lucy z przerażeniem osuwa się na kolana.

– Boże – modli się cicho. – Proszę, ocal Charliego i ocal mnie samą. Chcę wrócić do domu. Chcę, byśmy obydwójce wrócili tam, gdzie nasze miejsce.



# *Część pierwsza*



# Rozdział 1

11 stycznia 1854

**D**orothea Gray patrzyła, jak Henderson powoli przesuwa się wokół stołu w jadalni i pobrzękując sztuccami o srebrny półmisek, nakłada na talerze pikantne cynaderki. Jej siostra Lucy odprawiła go gestem dłoni, lecz Dorothea wzięła niewielką porcję potrawy, a ich ojciec oblizał usta i polecił lokajowi, by nałożył mu kilka sporych łyżek. Mięsny, ostry aromat mieszał się z zapachem świeżo upieczonych bułek i lekką stęchlizną przenikającą całą jadalnię – tajemniczą wonią nieustępującą nawet po wiosennych porządkach. Ojciec sięgnął po „Timesa” starannie złożonego w ćwierć, zamierzając uważnie przeczytać pierwszą stronę podczas posiłku, lecz przeszkodziła mu w tym Lucy, pytając z wystudiowaną swobodą:

– Papo, czy kapitan Harvington mógłby do ciebie wpaść dziś koło jedenastej? Chciałby z tobą o czymś porozmawiać.

Dorothea podniosła głowę, natychmiast nabierając podejrzeń.

– Kto taki? Kapitan Harvington? Czy ja go znam? – Ojciec zmarszczył brwi i spojrzał na córkę znad okularów.

– Służy w Ósmym Pułku Huzarów. Widziałeś go kilka razy, papo. Przedwczoraj był u nas na kolacji. Pamiętasz, jak cię rozbawił, dowcipnie udając lorda Aberdeen?

Ojciec jednak nie potrafił go sobie przypomnieć i wciąż z wysiłkiem mrużył oczy.

– Czego kapitan Harvington może chcieć od ojca? – wtrąciła się Dorothea. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, nasunęła jej się odpowiedź. – Chyba nie zamierzasz się zaręczyć? Znaie się dopiero

kilka tygodni. Zresztą jeśli Rosjanie nie wycofają się z tureckich ziem nad Dunajem, pewnie wkrótce będzie musiał jechać na wojnę.

Lucy bojowo uniosła brodę.

– Nie, nie będziemy zawracać sobie głowy zaręczynami. Zamierzamy od razu wziąć ślub, żebyśmy mogła popłynąć na tureckie ziemie razem z Charliem. Ponoć oficerom wolno zabierać ze sobą żony.

Dorothea wydała z siebie zduszony okrzyk i odłożyła widelec.

– Przecież to niedorzeczne! Jaki dżentelmen prosiłby żonę, by jechała z nim na wojnę? Okropny pomysł. – Spojrzała na ojca, lecz ten delektował się właśnie kęsem cynaderki, nie zauważając burzy, na jaką zanosilo się między jego córkami.

– Kochamy się całym sercem. Odkąd się poznaliśmy, minęło całe dziewięć tygodni i obydwoje zgodnie uważamy, że niczego nie byliśmy bardziej pewni niż naszej miłości. – Lucy mówiła z pasją i Dorothea słyszała w jej słowach echo romansów, które jej siostra uwielbiała czytać, pełnych młodych cnotliwych dziewcząt i rozmarzonych młodzieńców.

– Co o tym sądzi rodzina kapitana Harvingtona? Z pewnością uważa, że to niemądre spieszyć się z małżeństwem, gdy nadciąga wojna. Wszyscy mówią, że konflikt zbrojny jest nieunikniony po tym, jak w listopadzie Rosjanie zniszczyli tureckie statki w Synopie. Dlaczego nie zaczekacie do jego powrotu? Wojna na pewno nie potrwa długo. Rosjanie nam nie dorównują, zwłaszcza że zawarliśmy sojusz z Francją. Wstrzymanie się ze ślubem byłoby o wiele rozsądniejsze. – Dorothea szukała kolejnych argumentów, które przemówiłyby do jej lekkomyślnej młodszej siostry. – Moglibyśmy zaplanować piękną ceremonię i byłby czas, żeby zaprosić wszystkich członków rodziny, których nie widzieliśmy od lat. Mogłabyś włożyć specjalnie uszytą suknię i maminy welon z francuskiej koronki. Zastanów się, Lucy, prawdziwe wesele, a nie pospieszna i pochopna ceremonia... – Zamilkła na widok błysku determinacji w oczach siostry.

– Dorotheo, już zdecydowaliśmy. Na szczęście nie masz w tej kwestii nic do powiedzenia. To sprawa między papą a Charliem. – Zwróciła

się do ojca. – Papo, okażesz mi przychylność, prawda? Tak bardzo się kochamy, że Charlie chce, bym ciągle przy nim była i mogła się o niego troszczyć. Poza tym na pewno nie chcesz utknąć z dwiema starymi pannami pod swoim dachem, prawda? – Spojrzała znacząco na siostrę, która w wieku trzydziestu jeden lat nie miała męża. W odpowiedzi na ten złośliwy docinek Dorothea cmoknęła z niezadowoleniem.

– Co mówiłaś? – spytał ojciec, podenerwowany tym, że z powodu słabego słuchu umyka mu większość rozmowy. – Co mam zrobić?

Lucy odpowiedziała powoli i wyraźnie:

– O jedenastej przyjdzie do ciebie kapitan Harvington. Gdy będziesz z nim rozmawiał, pamiętaj, że bardzo go kocham i chcę zostać jego żoną.



Po śniadaniu Dorothea poszła za ojcem do jego gabinetu, gdzie o poranku lubił drzemać nad gazetą. Zaczekała, aż rodzic usadowi się wygodnie w skórzanym fotelu, z którego miał widok na bezlistne drzewa na Russell Square, a potem powiedziała:

– Papo, mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz, że niedorzeczny plan Lucy, by wyjść za mąż i pojechać na wojnę razem z żołnierzami, byłby katastrofalny w skutkach.

– Oczywiście. – Ojciec pokiwał głową.

Dorothea nie była jednak pewna, czy papa rozumie powagę sytuacji.

– Lucy i kapitan Harvington to pogodne, beztroskie dusze – podjęła – ale żadne z nich nie ma w sobie krztyny pragmatyzmu. Poza tym Lucy jest stanowczo za młoda i zbyt lekkomyślna na małżeństwo.

– Z całą pewnością. – Ojciec rozłożył gazetę.

– Papo, musisz ich powstrzymać. Wiem, że stawia cię to w niezręcznej sytuacji, ale mam pewną sugestię. Nie odmawiaj zgody od razu, graj na zwłokę, mówiąc, że będą mogli wziąć ślub po powrocie

kapitana Harvingtona z wojny. Do tego czasu Lucy bez wątpienia straci głowę dla jakiegoś innego przystojnego mężczyzny i do małżeństwa nie dojdzie. Zaledwie dwa miesiące temu była zauroczona Henrym Pendleburym, wcześniej zaś Alexandrem Gwynn Jonesem. Każ im poczekać, a na pewno nic z tego nie wyniknie.

– Zapewne masz rację. Przypomnij mi tylko: co właściwie mam zrobić?

Dorothea wyjaśniła to wszystko jeszcze raz, mówiąc powoli i wyraźnie. Ojciec chyba zrozumiał przesłanie. Zegar podróźny na kominiku wybił dziesiątą, a to oznaczało, że jeśli Dorothea się nie pośpieszy, spóźni się do pracy. Była członkinią komitetu dam w małym szpitalu dobroczynnym w Pimlico i uważała się z tego powodu za szczęściarę, bo większość kobiet z jej klasy społecznej spędzała dni, siedząc bezczynnie w domu albo wpadając do przyjaciółek na herbatę i plotki. Jeśli Chalmers przygotował powóz, a ruch na Covent Garden nie był zbyt wielki, wciąż jeszcze mogła zdążyć.

– Dziękuję, ojcze. – Pochyliła się, by go ucałować w czoło, a on, pożegnawszy się z nią mruknięciem, otworzył gazetę i zamknął oczy.

Patrząc z perspektywy czasu, Dorothea nie potrafiła wskazać konkretnego momentu, w którym ojciec zaczął tracić bystrość umysłu. W młodości prowadził świetnie prosperujące przedsiębiorstwo meblowe i najwyraźniej był obrotnym biznesmenem, ponieważ zarobił wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić ogromny dom i zatrudnić pięćoosobową służbę, a także trzymać powóz. Russell Square nie znajdował się wprawdzie w modnej części Londynu, lecz zapewniał wygodny dojazd do City, w związku z czym cieszył się popularnością wśród takich kupców jak jej ojciec. Gdy była mała, rzadko widywała ojca, ale jeśli już zjawiał się w domu, raczył córki opowieściami o takich podróźnikach jak Krzysztof Kolumb i kapitan Cook. Ta tematyka niezmiernie go fascynowała. W jego gabinecie stał globus – pokazywał na nim córkom kraje, do których dopłynęli ci pionierzy, a niektóre znajdowały się po drugiej stronie kuli ziemskiej. Wyglądało jednak na to, że po sprzedaży

przedsiębiorstwa – ojciec Dorothei nie miał syna, któremu mógłby je przekazać – jego umysł zaczął szwankować. Kiedy to nastąpiło? Jakies sześć–siedem lat temu, pomyślała. Parę lat przed tym, jak jego żona, matka Lucy i Dorothei, przegrała długą walkę z chorobą. Dorothea zastanawiała się, czy te zdarzenia były ze sobą związane. Trudno jej było sobie przypomnieć, dlaczego ojciec podjął decyzję o zakończeniu pracy, mimo że miał dopiero pięćdziesiąt kilka lat. Może z powodu żałoby, a może już wtedy czuł, że umysł powoli odmawia mu posłuszeństwa, i postanowił poddać się temu, co nieuniknione. Tak czy inaczej, mężczyzna snujący się po domu, drzemiący całymi dniami i rzadko zapraszający gości był tylko cieniem wspaniałego dżentelmena, którym kiedyś był jej ojciec.



Gdy Dorothea wróciła wyczerpana z pracy w szpitalu, Lucy siedziała przy kominku w salonie i szyła, a na jej ustach błąkał się lekki uśmiech.

Dorothea wybrała fotel najbliższej płomieni, by ogrzać zmarznięte palce.

– Był dziś kapitan Harvington?

– Tak – odrzekła powściągliwie Lucy.

– Przyjął decyzję ojca?

– Oczywiście. – Lucy rozpromieniła się zwycięsko i uśmiech rozjaśnił całą jej twarz. – Jest przeschęśliwy. Zamierzamy wziąć ślub zaraz po zapowiedziach.

– Ojciec się zgodził? – Dorothea poczuła się tak, jakby dostała kopniaka w brzuch.

– Błagam, ciesz się moim szczęściem – poprosiła Lucy. – Wiem, że jesteś temu przeciwna, ale nie możesz zaprzeczyć, że polubiłaś Charliego. Wszyscy go lubią! Jesteśmy ze sobą tacy szczęśliwi. – Młodsza siostra odrzuciła robótkę i z przejęciem zacisnęła dłonie.

Dorothei na chwilę zabrakło słów.

– Lucy, nie jestem przeciwna waszemu związkowi. To po prostu za wcześnie na ślub. Ledwie się znacie.

Lucy zeskoczyła z fotela i przyklękła u stóp Dorothei, po czym przechyliła głowę, spoglądając na siostrę przejrzystymi błękitnymi oczami i nadając ustom ten sam ujmujący wyraz, który niedawno bez wątpienia wpłynął na decyzję ojca. Na jego widok Dorothea zawsze miała ochotę ucałować nieskazitelną cerę na policzku młodszej siostry i pogłaskać ją po miękkich rudozłotych włosach. Lucy była ślicznotką, za którą ludzie odwracali się na ulicy, i trudno było oderwać od niej wzrok.

– Och, mylisz się! To dlatego że nigdy nie doświadczyłaś tego wspaniałego uczucia zakochania się i pewności, że wiesz o tej drugiej osobie wszystko, ponieważ jesteście dla siebie stworzeni. Śmiejemy się z tych samych rzeczy, płaczemy z tych samych powodów, mamy takie same zdanie na każdy temat... Wkrótce nauczysz się kochać Charliego tak jak ja. Wiem, że tak będzie.

Dorothea gwałtownie wstała i przeszła nad nogami siostry, ignorując rozczarowanie, które zasnuło twarz Lucy.

– Wybacz – wymamrotała. – Muszę się przebrać przed kolacją. Porozmawiamy później.



Gdy Dorothea wspinała się po schodach, mając nogi ciężkie jak ołów, towarzyszyła jej przede wszystkim jedna myśl: tak czy inaczej, należało nie dopuścić do tego ślubu. Była jedyną odpowiedzialną opiekunką tej dziewczyny, ponieważ wyglądało na to, że Lucy potrafi owinąć sobie ojca wokół palca. To Dorothea musiała zatem podjąć stosowne działania i wyraźnie czuć ciężar tej odpowiedzialności. Skoro Lucy nie chciała jej słuchać, do kogo mogła się zwrócić?



## Rozdział 2

*M*azajutrz Dorothea wyszła z domu wcześniej rano i poprosiła Chalmersa, by zawiózł ją do Lincoln's Inn, gdzie pewien znany jej dżentelmen miał kancelarię adwokacką. Pan William Goodland był bratem jej przyjaciółki Emily i mniej więcej od roku wpadał na Russell Square na podwieczorek w niedzielne popołudnia. Pytał o pracę Dorothei i o zdrowie jej ojca, rzucał kilka uwag na temat pogody, a Dorothea z trudem starała się z nim prowadzić coś w rodzaju rozmowy, dopóki w końcu nie wychodził po niespełna godzinie, życząc jej miłego dnia.

Lucy żartowała za jego plecami z jego krzaczastych bokobrodów i sztywnego sposobu bycia, całkiem udatnie naśladowując jego mozolne wypowiedzi:

– Te babeczki wydają się doskonałym połączeniem lekkości i słodyczy. Od dawna nie spotkałem się z tak wybornymi wypiekami. Muszą panie pochwalić kucharza za te wyborne umiejętności.

– Lucy, nie bądź okrutna – besztła ją Dorothea, nie mogąc jednak powstrzymać uśmiechu. – Nie każdy jest tak wytrawnym rozmówcą jak ty.

Dorothea nie była pewna celu tych regularnych wizyt pana Goodlanda. Czyżby dwie kobiety mieszkające pod dachem ojca tracącego bystrość umysłu budziły w nim jakieś odruchy opiekuńcze? A może uważał się za potencjalnego kandydata do ręki którejś z nich? Jeśli tak, nigdy nie wyjawiał swoich zamiarów. Mimo to postanowiła zasięgnąć jego fachowej opinii na temat planów małżeńskich Lucy.

– Moja siostra skończy osiemnaście lat dopiero za dwa tygodnie – wyjaśniła mu – a ja moim zdaniem występuję *in loco parentis*. Czy mogę cokolwiek zrobić?

Pan Goodland zacisnął usta.

– Panno Gray, obawiam się, że jeśli pani ojciec wyraził zgodę, po ukończeniu osiemnastego roku życia pani siostra może legalnie wyjść za mąż, chyba że istnieją przesłanki, żeby się temu sprzeciwić, na przykład wcześniejsze zobowiązania któreś ze stron. Jakie wrażenie wywarł na pani ten młody mężczyzna?

Dorothea zmarszczyła brwi.

– Wydaje się bardzo uprzejmy, ale Lucy jest młoda i niepokoi mnie tempo podjęcia tej decyzji.

– Co pani wiadomo na temat jego rodziny?

– Zupełnie nic. Zdaje się, że rodzice mieszkają w Dean Hall w Northampton, ale jeszcze nam ich nie przedstawiono.

– Być może warto byłoby do nich napisać, żeby się przedstawić i poznać ich zdanie na temat tych, jeśli mogę tak powiedzieć, nagłych starań o rękę pani siostry. Jeśli kapitan Harvington jest na ich utrzymaniu, być może mogliby na niego wywrzeć jakiś nacisk natury finansowej, by zachowywał się mniej impulsywnie.

– Tak, to chyba rozsądny pomysł. – Dorothea ucieszyła się z tej rady, uznając, że coś takiego rzeczywiście mogłoby pomóc.

– Jeśli zaś chodzi o wyruszenie na wojnę, to nie wyobrażam sobie, by armia była skłonna pozwolić tak młodej kobiecie podróżować razem z żołnierzami. Być może kapitan Harvington jeszcze nie powiedział swoim dowódcom, w jak delikatnym wieku jest pani siostra. Jeśli mogę coś zasugerować, radziłbym napisać do jego kompanii, to Ósmy Pułk Huzarów, prawda? I zgłosić swoje zastrzeżenia.

Dorothea się zawahała.

– Nie chcę, by Lucy miała mi za złe, że się wtrącam. Jest bardzo uczuciowa i wszystko tak mocno przeżywa... Czy nie mogłabym pana prosić, by napisał pan do nich dyskretnie jako przyjaciel rodziny?

Wyprostował się i wyprężył pierś.

– Ależ oczywiście, byłbym zaszczycony, mogąc pani służyć, panno Gray. Proszę się tak bardzo nie przejmować. Jestem pewny, że zdrowy rozsądek zwycięży.

Tego wieczoru Dorothea napisała do rodziców Charliego, dzieląc się z nimi obawami o siostrę związanymi z jej ewentualnym wyruszeniem na wojnę i prosząc, by rozważyli, czy nie warto nieco powściągnąć zamiarów syna. Być może, zasugerowała, obie rodziny powinny się spotkać i porozmawiać o tym, co należy zrobić w sprawie upartej pary.

Dała list Hendersonowi, by natychmiast go wysłał. Nie było czasu do stracenia. Przy odrobinie szczęścia Lucy nigdy się nie dowie, kto pokrzyżował jej zaręczynowe plany – jednak nawet w przeciwnym razie Dorothea nie miała wątpliwości, że kieruje się słusznymi pobudkami.



Trzy dni później przysłała odpowiedź od pana Harvingtona z Dean Hall, wywołując wielki niepokój w sercu Dorothei.

„Umywamy ręce od naszego niegdysiejszego syna Charlesa – napisano w liście – i szczerze Pani radzimy, by zapobiegła Pani jego ślubowi z Pani siostrą. To kundel bez zasad moralnych, darmożjad, który nigdy nie będzie wystarczająco odpowiedzialny, by zapewnić żonie byt, a nade wszystko człowiek niegodny zaufania”. Pan Harvington dodał, że choć zapłacili za nominację oficerską Charliego, nie powinien liczyć na dalsze wsparcie ze strony rodziny i jest zdany wyłącznie na własne siły, o co może mieć pretensje tylko do siebie.

Dorothea kilkakrotnie przeczytała list, zastanawiając się rozpaczliwie, co robić. W końcu uznała, że nie ma innego wyjścia, jak tylko pokazać go Lucy. Zapukała do pokoju siostry, a gdy weszła do środka, Lucy siedziała przed toaletką, zajęta szczotkowaniem sięgających do pasa włosów. Pokój był przytulny, w oknach wisiały grube zasłony,

a w kominku płonął ogień. Na szafce nocnej i na toaletce migotały świece, zmuszając do tańca cienie na ścianach.

– Uznałam, że skoro niebawem staniemy się spowinowaceni, powinnam napisać do rodziny kapitana Harvingtona – wyznała Dorothea po chwili wahania. – Niedawno przyszła odpowiedź.

Lucy chwyciła list, a gdy wodziła po nim wzrokiem, zarumieniły jej się policzki. Doczytawszy do końca, zgmiotła kartkę w kulkę i rzuciła ją przez cały pokój.

– Nie miałaś prawa się z nimi kontaktować! – syknęła. – Sama bym ci powiedziała, że rodzina go nienawidzi! Wszystko mi wyjaśnił. Wydziedziczyli go z powodu jakiejś głupiej kłótni pięć lat temu, w której nie było ani krzty jego winy, i ta sprawa przysparza mu wielu zmartwień. Jak śmiałaś do nich pisać za moimi plecami!

Właśnie takiej reakcji obawiała się Dorothea. Próbowwała jednak zachować spokój i rozsądny ton.

– Oczywiście, że miałam do tego prawo. Brak poparcia ze strony rodziny to nie przelewki. Dziwię się, że ojciec nie spytał Charliego o widoki na przyszłość. Jesteś za młoda, by wiedzieć, co to znaczy wyjść z miłości za mężczyznę pozbawionego stałego dochodu. Po sześciu miesiącach szczęścia czekałoby cię całe życie zmartwień i małostkowych wyrzutów.

Lucy była nieprzejednana.

– Charlie będzie zarabiał sam. Major Dodds przepowiada mu wspaniałą karierę w armii, a w pułku Charlie cieszy się ogromną sympatią. Ogromną. – Ze złością strąciła szczotkę do włosów z toaletki. Wyglądało na to, że jej gniew rośnie z każdą chwilą.

– Bez pieniędzy rodziny nie będzie mógł dalej awansować. Wiesz o tym, Lucy-lu. – Dorothea użyła pieszczotliwego zdrobnienia z dzieciństwa i wyciągnęła rękę, by pojednawczo dotknąć ramienia siostry, ale Lucy odtrąciła jej dłoń.

– Mam jedyną szansę na szczęście i nie pozwolę, żebyś ją popsukała. Jesteś zazdrosna i zgorzkniała, nienawidzę cię! – Do oczu Lucy napłynęły łzy. – Szkoda, że nie ma tu mamy. Pokochałaby Charliego

tak bardzo jak ja i cieszyłaby się moim szczęściem. – Lucy odwróciła się, ale Dorothea i tak zauważyła, że siostra płacze.

Zawahała się. Ich matka była bardzo podobna do Lucy – pełna życia, towarzyska, lecz zarazem potwornie niepraktyczna. Bez wątpienia przyjęłaby wieść o zaręczynach z wielkim podekscytowaniem i od razu zaczęłaby planować przymiarkę sukien i zakup kwiatów. Nie oznaczało to jednak, że postępowałyby słusznie.

Dorothea spróbowała innej taktyki.

– Myślałaś o niebezpieczeństwie, jakie groziłoby ci za granicą, gdzie na każdym kroku mierzono by do was z rosyjskich dział? Nie ma tam wygód, do jakich przywykłaś. Wyobraź sobie brak bieżącej wody, czystych, wyprasowanych ubrań, posiłków serwowanych przy stole i służby, która je podaje. Lucy, czy ty w ogóle wiesz, gdzie leżą tureckie ziemie? To dwa i pół tysiąca kilometrów stąd, za wzburzonym morzem. Na każdym kroku czai się tam niebezpieczeństwo: opary, które unoszą się nad glebą i wywołują śmiertelne choroby, węże i skorpiony uśmiercające jednym ukąszeniem, że nie wspomnę o horrorach bitewnych. To nie są żołnierskie igraszki. – Zamilkła, chcąc pocieszyć płaczącą Lucy, lecz postawa siostry nie zachęcała do czułości.

– Nie sądzisz, że to przemyślałam? – wykrztusiła Lucy przez łzy. – Odtąd będę pod opieką Charliego. Przez całe życie traktowałaś mnie z góry i mam tego dość.

Dorothea podjęła kolejną próbę.

– Nie mówię, że w ogóle nie powinnaś wychodzić za kapitana Harvingtona. Po prostu uważam, że lepiej zaczekać, aż skończy się wojna...

– Nie rozumiesz, że nawet przez chwilę nie potrafię być bez niego szczęśliwa?

Dorothea westchnęła.

– Wiesz, że powinnam pokazać ten list ojcu, prawda? Gdy pozna niepewną sytuację kapitana Harvingtona, będzie zmuszony ponownie przemyśleć swoją decyzję.

– Widzę, że postanowiłaś zniszczyć moje szczęście. W takim razie wynoś się. Zostaw mnie w spokoju! – Lucy krzyczała, zupełnie tracąc panowanie nad sobą.

Dorothea zatrzymała się w drzwiach, lecz nie potrafiła wymyślić nic więcej, toteż tylko cicho je za sobą zamknęła. Mogła jedynie mieć nadzieję, że ojciec odzyska rozum, a jeśli nie, że list pana Goodlanda wywrze pożądaną skuteczną i major Dodds przemówi Charliemu do rozumu. Wyglądało bowiem na to, że Lucy nie przyjmie żadnego punktu widzenia, który nie jest identyczny z jej własnym.



Następnego dnia po południu Dorothea wróciła z pracy w szpitalu w Pimlico i zobaczyła, że pod drzwiami czeka poruszony Henderson.

– Proszę mi wybaczyć, panno Dorotheo, ale nie wiedziałem, jak się z panią skontaktować. Kapitan Harvington zjawił się koło południa powozem zaprzęgniętym w cztery konie i panna Lucy poprosiła, że bym zniósł po schodach jej kufer, a potem pomógł woźnicy go załadować. Pani ojciec chyba nie zdawał sobie sprawy z powagi... – Zamilkł, próbując dokończyć zdanie w taktowny sposób.

– Chcesz powiedzieć, że ojciec nie próbował ich zatrzymać. Zostawiła list?

Henderson podał jej kopertę. Dorothea pospieszyła do salonu, padła na fotel i otworzyła ją. Charakter pisma Lucy, zazwyczaj ładny, zmienił się w bazgroły pokrywające całą stronę, a z każdej linijki biła wściekłość. „Nigdy Ci nie wybaczę, że próbowałaś zapobiec mojemu małżeństwu – napisała. – Nigdy. Zamierzam zostać u Charliego, a skoro odmawiasz nam błogosławieństwa, pobierzemy się bez twojego udziału, gdy tylko skończę osiemnaście lat. Przykro mi, że zażdość skłoniła cię do podjęcia próby zniszczenia naszego szczęścia, ale darzymy się tak silnym uczuciem, że Twoje działania od początku były skazane na porażkę”. Na koniec Lucy zostawiła słowa przesycone

największą nienawiścią: „Nie chcę mieć z Tobą nic wspólnego. Teraz moją rodziną jest Charlie”.

Dorothea ukryła twarz w dłoniach i aż się skuliła z rozpacz.

– O Boże, nie! Co ja narobiłam.

Chciało jej się płakać, ale z ust wydobył się jedynie żalostny dźwięk. Jak to możliwe, że wszystko przybrało tak fatalny obrót? Próbowała zapobiec temu małżeństwu tylko dlatego, że kochała Lucy bardziej niż jakakolwiek inna istota na ziemi. A przez nią jej siostra uciekła, narażając się na Bóg jeden wie jakie zagrożenie. Teraz mogło się zdarzyć wszystko. Lucy mogła splamić swoje dobre imię, nawet zginać. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że uda się uniknąć wojny albo że major Dodds zabroni dziewczynie podróżowania razem z żołnierzami. Pod nieobecność Charliego Lucy z pewnością wróciłaby do domu i Dorothea miałyby szansę naprawić to, co zniszczyła. Och, tak bardzo tego pragnęła.



Dramatyczne cztery tygodnie później pan Woodland otrzymał lakoniczną odpowiedź od majora Doddsa i wieczorem zjawił się z nią u Dorothei. Major informował, że Lucy i Charlie wzięli ślub 20 lutego w Warwickshire i że miał zaszczyt być świadkiem Charliego. Pułk wciąż czekał na decyzję w sprawie wyruszenia na tureckie ziemie – wszystko zależało od polityków – ale gdyby ją podjęto, major z radością pozwolił pani Lucy Harvington towarzyszyć mężowi.

– Pani siostra to niemądra dziewczyna – zaczął pan Woodland. – Odpiszę majorowi Doddswi w surowym tonie, nalegając, by...

– Nie, niech pan tego nie robi. – Dorothea wstała, czując nagle, że dłużej nie zniesie tego napuszonego człowieka. Cokolwiek napisał do majora Doddsa, najwyraźniej tylko pogorszył sprawę. Gdyby wykazał w liście więcej taktu, odpowiedź z pewnością nie byłaby

tak ostra i nieprzychylna. – Musi mi pan wybaczyć, ale jestem tym wszystkim zupełnie przytłoczona. Chciałabym zostać sama. Może... – Dorothea czuła, że zaraz się rozpłaczę, i nie była w stanie dokończyć zdania. Odwróciła się i uciekła z pokoju.

– Oczywiście – powiedział pan Woodland. – Sam trafię do wyjścia. Tylko że nikt go już nie słyszał.



## Rozdział 3

Zimą na przełomie 1853 i 1854 roku Dorothea miała w Pimlico pacjenta, którego darzyła szczególną sympatią. Edward Peters brał udział w bitwie pod Waterloo, lecz potem nastały dla niego ciężkie czasy. Nie miał dzieci i nie odwiedzał go nikt z rodziny, ale Dorothea lubiła towarzystwo starszego, elokwentnego mężczyzny, który powoli, ale nieubłagane podupadał na zdrowiu. Codziennie przynosiła mu z domu „Timesa” z poprzedniego dnia, ponieważ lubił być na bieżąco. Czytanie sprawiało mu trudność, dlatego że miał za słabe okulary (domyślała się, że nie stać go na nowe), więc siadała obok jego łóżka i czytała na głos najbardziej interesujące go artykuły, a mianowicie te dotyczące zbliżającej się wojny na terytorium Turcji, które z oczywistych powodów ją także ciekawiły. Gdy czytała, pan Peters wtrącał uwagi, ostro krytykując opieszałość rządu.

– Cały ten czas moglibyśmy poświęcić na przygotowania do walki, a zamiast tego politycy tylko gadają. Według mnie to tchórze.

– Postawiliśmy Rosjanom ultimatum i przy odrobinie szczęścia ustąpią – spierała się z nim Dorothea.

Nie ustąpili jednak i 28 marca gruchnęła wieść, że Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Rosji wojnę, stając w obronie Turcji.

Pan Peters był podekscytowany.

– W samą porę! – zawołał. – Nie pozwolimy, by Rosjanie napadali na sąsiadów.

Dorothea czuła, że sam chciałby ruszyć do walki, znowu być młodym mężczyzną.

– Mąż mojej siostry jest kapitanem w Ósmym Pułku Huzarów i na pewno skierują go do walki. Siostra liczy na to, że będzie mogła mu towarzyszyć. – Zadała pytanie, które najgłębiej ją nurtowało. – Myśli pan, że będzie tam bezpieczna?

– Któż to wie? Żony od wieków towarzyszyły mężczyznom w boju i przydawały się podczas gotowania i prania. Ale czasy się zmieniają i to cholernie głupie, że wciąż zabiera się kobiety na front, gdy w użytku jest nowa broń o większym zasięgu. Dowódcy, zamiast się skupić na polu bitwy, zapewniają paniom stosowne zakwaterowanie, a na dodatek potrzeba więcej jedzenia. Zawsze uważałem, że to szaleństwo. – Zakasłał, zmęczony mówieniem. – Mówi pani, Ósmy Pułk Huzarów? To część lekkiej brygady. Dobrze przynajmniej, że jej mąż nie jest w ciężkiej. Ciężka brygada prowadzi do ataku, lekką wykorzystuje się głównie do rekonesansu. Z jakiej rodziny pochodzi pani szwagier?

– Z Harvingtonów z Northampton.

– To rodzina z wojskowymi tradycjami?

– Obawiam się, że nie wiem. Nie znam jej. – Dorothea się zarumieniła. – Przykro mi o tym mówić, ale małżeństwo odbyło się w pewnym pośpiechu, by moja siostra mogła wyruszyć razem z armią i zostać u boku męża.

– Na pewno bardzo się pani martwi – powiedział pan Peters ochrypłym szeptem.

– Tak. – Dorothea zamrugła, by powstrzymać łzę. – Potwornie boję się o Lucy, ale nie mogę do niej napisać, bo nie wiem, gdzie kwaterują.

– Jeśli napisze pani na kopercie „do rąk kapitana Harvingtona, 8. Pułk Huzarów” i zaadresuje ją do dowództwa pułku, na pewno mu ją przekażą... – Pacjent zacharczał, potem coś załaskotało go w gardle i zaczął gwałtownie kasłać. Zamknął oczy, a jego klatka piersiowa z wysiłkiem unosiła się i opadała. Często miał przekrwione płuca, co sprawiało, że krztusił się i z trudem oddychał, lecz nigdy się nie skarżył. Dorothea poklepała go po plecach, by oderwała się

flegma, a potem podstawiła miseczkę, by mężczyzna mógł splunąć. Zauważyła, że jego plwocina ma niezdrowy zielonkawożółty kolor. Wcześniej zauważyła też, że stopy mu czernieją wskutek słabego krążenia. Miała nadzieję, że naczelnny lekarz będzie mógł go później obejrzeć.

Gdy gwałtowny kaszel wreszcie ustał, Dorothea zobaczyła, że usta pana Petersa mają sinawy odcień, a jego skóra pobladła. Wyglądał, jakby podejmował wielki wysiłek, by coś dodać.

– Proszę wybaczyć, że to powiem, siostró, ale najlepiej się pojednać, póki jeszcze można – szepnął, po czym zamknął oczy, żeby odpocząć. Każdy atak kaszlu pozbawiał go resztek sił.

– Chciałby pan, żebym wezwała pastora albo księdza? – spytała Dorothea, zastanawiając się, czy miał na myśli pojednanie z Bogiem, lecz on zdecydowanie pokręcił głową. Podczas wcześniejszych rozmów wyrażał się o religii niepocholebnie. Niemniej często odkrywała, że w obliczu nadchodzącej śmierci pacjenci zmieniają zdanie.

Lekarz, który przyszedł później zbadać pana Petersa, powiedział Dorothei, że jego zdaniem koniec jest bliski.

– Może się pani skontaktować z jego rodziną? – spytał.

– Obawiam się, że ten pacjent nie ma bliskich krewnych. Spytałam go, kogo powinnam zawiadomić, jeśli jego stan się pogorszy, ale odrzekł, że nikogo takiego nie ma.

Dorothea pomyślała, że być może tak samo będzie kiedyś z nią, zwłaszcza jeśli nie uda się załagodzić tej okropnej sytuacji z Lucy. W wieku trzydziestu jeden lat była już za stara, by wyjść za mąż i urodzić dzieci. Ta myśl przepełniała ją smutkiem, lecz Dorothea pocieszała się tym, że przynajmniej ma pracę. Uwielbiała pomagać pacjentom i wiedziała, że potrafi nieść im ulgę w cierpieniu oraz sprawić, by nie czuli się samotnie. Szpitale były przerażającymi miejscami pełnymi obcych ludzi, lekarze wpadali na chwilę, by wykonać bolesne procedury, a potem znów znikali. Dorothea starała się, aby pacjenci czuli, że mają w niej przyjaciółkę, że ktoś przy nich jest. Ich szczerze podziękowania sprawiały jej radość.

Postanowiła spędzić dzień przy panu Petersie, który oddychał już płytko i z wielkim trudem. Najwyraźniej nie zostało mu wiele czasu, a nie mogła pozwolić, by odchodził w samotności. Zrobiła sobie herbatę i przysunęła swoje krzesło do jego łóżka, po czym wytarła pacjentowi czoło i zaproponowała łyk wody. Tylko pokręcił głową. Każdy oddech wymagał od niego wysiłku i wkrótce pan Peters zapadł w sen. Z jego gardła wydobywał się charkot, jaki ktoś nazwał kiedyś rżeniem śmierci. Wiedziała, że wywołuje je nagromadzona ślina, której nie mógł dłużej połykać. Raz po raz zwilżała mu usta, by nie spierzchły mu wargi, i przykładła do czoła chłodną ściereczkę. Był nieprzytomny, lecz miała nadzieję, że czuje jej obecność.

O wpół do piątej po raz ostatni otworzył oczy, krztusząc się płynem nagromadzonym w płucach. Miał lodowate dłonie i Dorothea czuła ostry chemiczny zapach, który często zauważała tuż przed końcem. Wysunęła spod jego głowy poduszkę, wiedząc, że śmierć przyjdzie szybciej, jeśli będzie leżał płasko.

– Do widzenia – szepnęła. – Dobry z pana człowiek, będzie mi brakowało naszych rozmów. – Ścisnęła jego ramię, gdy brał ostatni, właściwie niezauważalny oddech, tak samo jak wtedy, gdy pięć lat wcześniej umierała w nocy jej matka.

Była to okrutna śmierć. Matka potwornie cierpiała z powodu raka wyzerającego jej wnętrzości. Wszystko zwracała, nawet laudanum, które mogłoby jej przynieść pewną ulgę, a lewatywa z opium chyba na niewiele się zdawała. Pod koniec choroba zaatakowała także jej kręgosłup i uniemożliwiła znalezienie wygodnej pozycji bez względu na to, czy matka siedziała, czy leżała. Chora była przerażona, lecz usiłowała tłumić agonalne okrzyki kocami, by nie obudzić trzynastoletniej Lucy śpiącej w pokoju kawałek dalej. Dorothea widziała strach w oczach matki, słyszała jej szeptane błagania o pomoc, jednak była zupełnie bezsilna i mogła jedynie trzymać ją za rękę, zwilżać jej usta i pocieszać czułym szeptem. Lekarz przychodził i wychodził, zostawiając bezużyteczne zapasy laudanum. Pastor się modlił. Ojciec Dorothei nie mógł tego wszystkiego

znieść i zaszył się w swoim gabinecie, zostawiając Dorotheę samą, by była świadkiem ostatnich zmagania matki z potworną śmiercią. To doświadczenie zostawiło blizny, które miała nosić do końca życia. Ostatni oddech matki był błogosławionym wybawieniem od okrutnych męczarni, lecz wyraz jej twarzy w momencie śmierci świadczył o przerażeniu. Na szczęście Lucy tego nie widziała. Gdy nazajutrz rano przyszła zobaczyć ciało zmarłej, twarz matki wyrażała już spokój i wytchnienie. Lucy miała żal, że jej nie zawołano, by mogła się pożegnać, ale Dorothea wiedziała, że jej siostra jest zbyt młoda na tak przynębiający widok.

Śmierć pana Petersa wyglądała całkiem inaczej – była spokojna, najlepsza, na jaką mógł liczyć. Dorothea siedziała przy ciele zmarłego przez pół godziny, patrząc, jak tężeją jego rysy twarzy, jak blednie jego cera, a potem pomogła sanitariuszce go umyć i przygotować do przekazania przedsiębiorcy pogrzebowemu. Było wpół do szóstej wieczorem, gdy ubrana w ciemną wełnianą pelerynę wyszła na ulicę i wsiadła do dwukółki wezwanej przez szpitalnego portiera, by zabrał ją z powrotem na Russell Square.

Covent Garden rozbrzmiewało głosami straganiarzy zwijających niesprzedane owoce i warzywa pod metalowymi i szklanymi markizami oraz młodych kwiaciarek, którym zostało w koszykach kilka różowych, białych i żółtych kwiatów. Na rogach ulic wystawały już nocne damy, licząc na wczesny zarobek. Po pracy w szpitalu nic nie było w stanie zszokować Dorothei. Przez sale szpitalne przewijali się najróżniejsi ludzie.

Po powrocie do swojego pokoju Dorothea zaczęła się przebierać do kolacji, lecz była zbyt poruszona, by poradzić sobie z licznymi guzikami przy sukni. Usiadła zatem przy toaletce, chcąc napisać list do Lucy. Wyznała siostrze, że żałuje tego, co zrobiła, i ma nadzieję, że jej małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe. Było jej smutno, że ominęła ją ceremonia, lecz być może gdy się pogodzą, wyda przyjęcie na cześć małżonków... Nagle Dorothea upuściła pióro i z jej piersi wyrwał się głośny szloch. Z trudem łapała powietrze. Próbowwała

nad sobą zapanować, ale emocje wzięły górę i cała się trzęsła pod wpływem ogromnego smutku.

– Boże, proszę, nie pozwól, żeby Lucy stało się coś złego – modliła się, zaciskając powieki. – Zawiodłam ją i nigdy sobie nie wybaczę, jeśli spotka ją jakaś krzywda.

Położyła głowę na toaletce i zasnęła, a gdy godzinę później obudził ją dzwonek wzywający na kolację, odkryła, że jej łyżki przesiąkły przez papier i rozmazały atrament.